



(Co ja mogę? — Przedstawienie się. — Zwiastuny wiosny. — Na plantacjach. — Na linii A-B. — Czarne myśli panny Mani — Apatyczny ojciec. — Nieco o kredycie. — Sympatyczny lupek Szyłoków).

Redakcja „Nowości ilustrowanych” powierzyła mi dział pod tyt.: „Ze świata”. Pyszny dział! Siedzę sobie przy biurku, paląc „trabuko” (czasem „croveros”), piję czarną kawę (jeżeli żona ma dobry humor) i nie posiadając ani balonu, ani jachtu, ani własnego pociągu kolejowego lub samochodu, ba — nie mając nawet roweru, kupionego na raty, mogę jeździć po całym świecie bez paszportu, bez monety, a co najważniejsze, bez pozwolenia mej żony. Mogę poprosić marszałka Ojame o przepis na zwycięstwa; mogę zapytać Kuropatkin, jak się to urządza strategicznie odwrót (po krakowsku: noga Matus); mogę w mgnieniu oka powrócić do Hawelki na „bombę” pilzneńskiego i kanapkę, a potem równie szybko pomknąć do Waszyngtonu, ażeby popatrzeć, co robi „Teddy”, lub uroczą jego córkę Alicję. Mogę zajrzeć do Berlina, gdzie podobno pierwsze niemowlę, które rozpocznie trzeci milion ludności, otrzyma honorową „pikelhaube”, jeżeli będzie płci męskiej, a pięć marek posagu, jeżeli będzie płci żeńskiej. Mogę wpaść do Petersburga i popatrzeć, jak o północy walczy Trepow z marami pomordowanych robotników, albo jak w szampanie „elita” topi swoje troski. Mogę w Paryżu pogadać z Loubetem, albo posiedzieć w „cabarecie”, a potem nagle zjawić się na Monte Pincio, albo na grobie Agamemnona. Mam w każdej chwili wstęp do Menelika lub Wilhelma II, do Sary Bernhardt lub panny Kaweckiej z motylem za 30.000 rubli. Mogę w Hiszpanii dzwonić na mandolinie, po balkonie urocznej Izabeli, a zaraz potem pomknąć do Krakowa i runąć do stóp panny Stasi. I choćbym sobie przy tej sposobności miał pozbijać kolana, to wolę na „kociach łbach” krakowskiego bruku czołem bić przed panną Stasią, niż w pomarańczowym, lub laurowym gaju kwilić z Beatrycą, Elwirą itd. Jak Boga Kocham!

— Ale czego ty chcesz, kronikarzu świata? — zapyta czytelnik.

Jestem roztargniony. Zapomniałem przedstawić się i powiedzieć, że to pierwszy mój występ w „Nowościach”. Więc muszę koniecznie pochwalić mój towar, ponieważ bez reklamy nikt się dziś nie obejdzie. Chcecie wiedzieć jak się nazywam? Iluż to ludzi nie wie, jak się nazywa właściciel handlu Hawelki, a przecież każdy tam dąży, ażeby pokrzepić wątłe ciało, a nawet i ducha. Czytajcie mój dział „Ze świata”, o autora zaś nie pytajcie. Wystarczy, jeżeli będziecie zadowoleni. Zgoda?

A teraz do rzeczy, co wcale nie wyklucza, że mogę pisać nie do rzeczy. Otóż mam żal do losu, że debiut mój w „Nowościach” przypadł na wielki post Kaznodzieje wzywający do pokuty, wierzy-ciele wołają o „wyrównanie” rachunków karnawałowych, żony pod pretekstem postu karmią mężów śledziami, bryndzą, sardynkami i... ziemniakami pieczonymi — ludziska żyzmają się na świat cały, a ja mam was częstować humorystką?

Trudne zaiste zadanie. A na dobitkę wiosna się zbliża. Dla posłów, dla właścicieli magazynów konfekcyjnych, dla modniarek żniwo — dla mężów i ojców rozpacz.

Kalendarz już dosyć dawno zapowiedział wiosnę, a teraz coraz częściej pojawiają się jej zwiastuny... Kawałek błękitu, rozpiętego nad wieżycami Wawelu i kościoła Maryackiego; kilka chmur białych, płynących wolno w dal nieskończoną; słońce, wypełniające światłem ulice i place — oto dekoracja dwóch dni świątecznych, dekoracja — którą p. Spitziar machnąłby w przeciągu kilku dni. Jeszcze wprawdzie marzec może nam przynieść niejedną przykrą niespodziankę, jeszcze kwiecień kaprysić może będzie jak „plecień”, ale koniec końców zwiastuny wiosny nadchodzą.

Na plantacjach pojawiły się już gromady emerytów. Staruszek jakiś idzie wolno aleją i rozgląda się na prawo i lewo, jakby lustrował swoje gospodarstwo. Stał przed wiekowym drzewem, opukał je laską, wzrok podniósł na konary, zerwał z kory płat zrudziałego mchu i dalej kroczy ku różom, owiniętym w słomę. Nagle staje i woła:

— Sługa radcy! Mamy wiosnę, ha?

— Pułkownik zakomenderował i mamy wiosnę — odparł radca.

— Jam już emeryt — mówi pułkownik, strzepując z palców resztki mchu. — Nikomu nie rozkazuję i nikogo nie słucham. Jużci, jak śmierć zawoła do apelu, to się stawiam...

— A wy tutaj co prawicie o śmierci? — zawołał za ich plecami stary kanonik, który na dewocyi osiadł w Krakowie po trzydziestoletnim tępieniu grzechów na wsi. — Radca mówić może o jursprudencei, pułkownik o strategii...

— A ksiądz kanonik o śmierci — dokończył radca.

— O śmierci, ja? — powtórzył kanonik. — Ani ja, ani wy, ale tylko Ten — dodał, wskazując na niebo.

— Gwałtu! Pewnie już radzicie o urządzeniu majówki — krzyczał z daleka mały staruszek, były profesor. — Nic z tego, majówka to moja rzecz. Wiosna wam głowy zawróciła.

Profesor powiedział prawdę: wiosna zawróciła im głowy.

Rozmawieni staruszkowie szli dalej, popychając się, rozprawiając głośno, przerywając sobie zaledwie rozpoczęte zdania, a wtórowały im wróble, ćwierkając po krzakach na umór. Nie wiem, co one sobie tam ćwierkały, ale to wiem jedynie, że je nazywał Rej „wszetcznymi”. Pod murami klasztoru na Gródku dzieci w południe już biegają, a nawet tarzają się po ziemi. Na przestrzeni kilkudziesięciu metrów kwadratowych urządziły sobie wolną republikę, nie troszcząc się o to, że policja rezyduje tuż pod ich bokiem.

Panie młodsze i starsze mniej podziwiają błękit nieba, jak również mniej troszczą się o drzewa i róże na plantacjach, a za to więcej rozmyślają nad strojami wiosennymi. Nie załatwiły jeszcze rachunków karnawałowych, a już muszą robić wydatki z powodu wiosny. Na linii A-B i na plantacjach widzimy tylko te panie, które już posiadają wiosenne zarzutki (hawełki z kapturkami. Czy tak?), reszta biega od sklepu do sklepu, ażeby się czempredziej zaopatrzyć w tę część garderoby. Ku chwale, czy też może naganie rodu niewieściego, muszę stwierdzić, że istnieją także takie emancypantki swojego rodzaju, które sobie nie robią z opinii publicznej i spacerują w najlepsze po linii A-B w zimowych żakietach. I to w samo południe — a jakże!

Są także i takie, które strejkują. O, są.

— Nie pójdę na spacer — mówi panna Mania do swojej mamy, która ją namawia do przechadzki.

Oczywiście mama z córką są w znowie.

— Dlaczego? — zapytuje mama.

— Nie mam wiosennej zarzutki — odpowiada płaczliwie panna Mania. — Przecież nie mogę się narażać na szyderstwa i wstyd.

Ojciec siedzi na kanapie i wypłowiałymi oczami spogląda apatycznie na córkę.

— A jeżeli nie prędko dostaniesz zarzutkę? — zapytuje mama.

— Będę siedzieć w domu.

— To się rozchorujesz.

— Wiem o tem, ale przygotowana jestem na wszystko: na chorobę, nawet na śmierć! Co mi po takim życiu — woła panna Mania, wygniatając palcami łzy z oczu.

Ojciec siedzi na kanapie i nie chce ani rusz pojąć, że przyzwolta panna woli umrzeć, niż pokazać się teraz na ulicy w zimowej zarzutce. Zapala cygaro i milczy. Rozmyśla biedak nad kredytem, ażeby pannę Manię uchronić od śmierci — a siebie od piekielka rodzinnego.

Och! ten kredyt! Powiadają, że Rosya wypuszcza wewnętrzną pożyczkę po 90 za 100. Gdyby w Krakowie ludzie potrzebujący kredytu mogli „wypuszczać” obligi po 90 za 100, to jest, gdyby askultant mógł dostać 90 złr. na rewers na 100 złr! Boże, tożby dopiero „Europa była w ruchu!” Niestety, w Krakowie „odręczny” kredyt już nie istnieje prawie. „Tempi passati”. Kelner czasami jeszcze „wygodzi” kilku koronami — ale Szyłoków już nie ma. A to był taki sympatyczny naród! Nie wspominał o nich nigdy kalendarz Czecha, ale za to w sercach wielu Krakowian wspomnienie o nich na wieki się wyrzyło.

Ke.



## Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Obecnie wychodzą na światło dzienne coraz to nowe szczegóły strasznych walk, stoczonych pod Mukdenem. Raporty, aczkolwiek są zbyt pobieżne i przypadkowe, stwierdzają, że w niektórych pułkach straty są tak znaczne, że pułki te można uważać za zupełnie zniszczone. Niektóre oddziały stały pod tak strasznym i piekielnym ogniem nieprzyjacielskim, że ani jeden człowiek nie uszedł cało. Bo na pewnych pozycjach walka była zażarta i tak z jednej, jak i z drugiej strony walczone do upadłego. Na niektórych placówkach poszczególne oddziały dokonywały cudów męstwa i waleczności. Na forpocztach przed Mukdenem w nocy z dnia 9 na 10 marca oddział rosyjski, osłaniając odwrót innych oddziałów, został wycięty w pień, a jego dowódca, choć był Polakiem, wołał paść na placówce — byle tylko osłonić odwrót swych współziomków, niż cłając się, narazić oddziały będące w odwrocie na klęskę. Był to czyn bohaterstwa i choć mu życie własne przyszło stracić, nie wahał się ani przez chwilę, gdyż nie chodziło tu już o honor Rosyi, o zwycięstwo wojsk carskich nad Japończykami, ale chodziło o uratowanie życia tysiącom ludzi, których odwrót należało osłonić i powstrzymać ścigające kolumny japońskie. Wprawdzie było inne wyjście i to z pewnością dogodniejsze dla każdego żołnierza, któremu życie było drogie: ucieczka do Japończyków — ale w każdym razie akt takiego bohaterstwa, jaki wyżej opisaliśmy, musi budzić bezwarunkowo podziw! Było to bohaterskie poświęcenie się w obronie życia innych!

Nie brakło też w tej bitwie, jak w każdej innej, dowodów barbarzyństwa, dezorganizacji i niedołęstwa ze strony rosyjskiej. Dnia 5 marca rozpoczęli Rosjanie odwrót z Mukdena. Dnia 8 marca opuścił Mukden sztab generalny i Kuropatkin — a następnego dnia wszystkie władze wojskowe. Od pierwszego dnia odwrotu co godzinę odjeżdżał pociąg o 60 wagonach, uwożąc z sobą zapasy żywności, rannych, amunicję i tak aż do 9 marca odbywało się to we względny porządku. Czas jednak był za krótki, by móżdż wywieźć z Mukdena, gdzie były nagromadzone liczne zapasy, wszystko, to też połowa olbrzymich zasobów i składów w Mukdenie musiała pozostać i stać się łupem Japończyków. Dnia 10 marca Mukden był już opróżniony z wojsk rosyjskich, a pozostali tylko kozacy, którzy, stawszy się panami miasta, rozpoczęli na swój sposób dzieło zniszczenia.

Zupełnie pijani dopuszczali się ekscesów wszelkiego gatunku: mordowali mieszkańców chińskich, napadali na poddanych włoskich i greckich, na kupców — a kto odważył się bronić, ginął straszną śmiercią z rąk rozbewstwionych i pijanych kozaków. Rabowali sklepy, magazyny, wpadali do domów prywatnych i kradli na wszystkie strony, a czego unieść nie mogli — podpalali i puszczali z dymem.

By zrehabilitować niedołężną administrację — podpalali wszystkie magazyny i niszczyli całe miasto, które za parę godzin miało się dostać w ręce Japończyków. Pijani żołnierze setkami leżeli w rynsztokach, a inni tymczasem rabowali i kradli w dalszym ciągu. Gdy o godzinie 4 po południu weszli Japończycy do miasta, mieszkańcy z radością nieklamano ich witali, wiedząc, że tylko oni mogą przywrócić jaki taki spokój i zagwarantować bezpieczeństwo osobiste.

W samem mieście wzięli Japończycy 4.000 Rosjan do niewoli. Z kupcami obchodzili się dobrze, a każdemu, kto chciał miasto opuścić, wydawali przepustki, upoważniające do udania się na teren neutralny. Zachowanie się Japończyków w mieście zdobytem było wzorowe i mimo silnej pokusy nie zaszedł w mieście ani jeden wypadek rabunku lub kradzieży. Tutaj też odczytano żołnierzom japońskim podziękowanie od mikada za ich ofiarną służbę i waleczność.

Tymczasem armia rosyjska zmykała ku Tienlinowi w największym popłochu, pozostawiając po szpitalach tysiące rannych, a między nimi generała Kellersberga, któremu kula urwała obie nogi.

Odwrót był nadzwyczaj uciążliwy. Wojsko, straciwszy zupełnie głowę, uciekało w popłochu, myśląc, że jest ze wszystkich stron osaczone.

Poszczególne korpusy straciły zupełnie kontakt z całością armii i do tego czasu nie wiadomo, gdzie się znajdują. I tak, rozbity przez armię generała Kurokiego korpus Rennenkampfa, zniknął prawie zupełnie i zdaje się, że został odcięty przez Japończyków od armii głównej.